

Dariusz Karłowicz: Wildstein to oksymoron

W numerze poświęconym Bronisławowi Wildsteinowi nie mogło zabraknąć laudacji na cześć Autora „Doliny nicości”. Przypominamy tę wygłoszoną przez Dariusza Karłowicza podczas benefisu Bronisława Wildsteina w Teatrze Kamienica 14 grudnia 2012 roku.

Tematem mojego wystąpienia jest filozoficzny aspekt sporu o Wildsteina, a mianowicie spór o istnienie Wildsteina

Wildstein, co zostanie tu udowodnione, jest bytem ontycznie i logicznie niemożliwym – co skutkuje tzw. aporią Wildsteina. Chodzi o wysoce problematyczną sytuację, iż Wildstein, jakkolwiek niemożliwy, jakoś jednak istnieje, czego dowodzą liczne dane zmysłowe, intelektualne, pisarskie, medialne i oczywiście procesowe. Moje stanowisko w tej sprawie to sceptyczny realizm, będący w sporze zarówno z wpływową opinią, iż wbrew oczywistym danym Wildsteina po prostu nie ma (doktryna z kręgu doc. A. Gory) jak i ze stanowiskiem środowiska prof. G. Polskiej, że Wildstein jako byt jest całkowicie nieproblematyczny (tzw. wildsteinizm afirmatywny lub ekstatyczny). Oba stanowiska uważam za z gruntu błędne.

Już na poziomie lingwistycznym Wildstein to oksymoron. Nie trzeba głęboko nurkować w mroczne odmęty niemczyzny, żeby zrozumieć, że nazwisko Wildstein odsyła do kosmicznego konfliktu żywiołów

przeciwstawnych, żywiołów, których pogodzić niepodobna. Dzikość i kamień, a więc z jednej strony trawiący wszystko ogień, szaleństwo, gorąca głowa, zmienność i brawura, z drugiej – fundament, na którym stanie to, co trwałe, odesłanie do tego, co absolutne, mocne, ba, wieczne.

Jeśli – a idziemy tu za Platońskim *Kratylosem* – imiona ujawniają istotę rzeczy, sprawa staje się jasna. W świetle rzetelnej analizy filozoficznej Wildstein, aby stać się jako Wildstein właśnie, zakwestionować musi wiele, jeśli nie wszystkie, zasady bytu i myślenia – musiałby pogodzić niemożliwe do pogodzenia pierwiastki natury, słowem – połączyć sprzeczności. To tak jakby miał zostać naraz wszystkimi bohaterami *Trylogii*: Bohunem i Skrzetuskim, Azją i Wołodyjowskim, a na dodatek jeszcze Baską, Zagłobą, Rochem Kowalskim, Stanisławem Brzozowskim, Gombrowczem, Rymkiewiczem i nawet trochę Wojtyłą.

Czy mógł urodzić się gdzie indziej niż w rodzinie polskiej i żydowskiej, komunistycznej i akowskiej, miejskiej i wiejskiej, ateistycznej i pobożnej zarazem? Zrazu – co jasne – bardziej Wild niż Stein, czy mógł nie skakać z okien, awanturować się po pijaku, łobuzować? Ale przecież Stein ani na chwilę nie zniknął z horyzontu: w pysk wali za sprawę, ze szkoły wylatuje za zasady, pałą dostaje za wolność. Przyjacielskie szaleństwa to walka o Polskę, a szalona podróż, to przecież przymusowa emigracja.

Rewolucyjny tradycjonalista, szanujący Kościół mason, towarzyski outsider. Mało? Popatrzcie na jego książki. Czy bolesna drwina z mistrza nie zbiega się z pragnieniem Prawdziwego Mistrza, ciemny

polityczny thriller, nie jest nade wszystko religijną powieścią o nadziei i beznadziei, a saga o rzezi, okrucieństwie i absurdzie opowieścią o prześwitach ujawniającego się w historii Planu?

Rozejrzyjcie się Państwo wokół – sami wpadliście w to po uszy. Miał być zacny krakowski benefis, a tu wspaniale chaotyczna Warszawa, spodziewaliście się Józefy Hennelowej, a w tej roli Robert Mazurek, niby salon a jakby nie-salon, niby dostojny jubilat, a z oczu skry idą, z głowy się dymi, pióro się w kieszeni otwiera.

I tak to, Drogi Bronku, nazwisko, które było zadaniem, stało się losem. Wildstein – polski pisarz, polski inteligent, polski patriota. Jak polska kultura, jak Polska – Wildstein jest ontologiczną anomalią, jest niemożliwy, trudny, nieznośny i wspaniały – i właśnie jako taki istnieje.

W Twoją 60-tkę Bronku można powiedzieć, że zapracowałeś na swoje nazwisko. Wyszła ci ta *coincidentia oppositorum*. Wolno napisać: „Wildstein. Co było do udowodnienia”.

Laudacja wygłoszona podczas benefisu Bronisława Wildsteina w Teatrze Kamienica 14 grudnia 2012 roku.